

# Ewa Bekier

---

## Niezapomniany duszpasterz : wspomnienie o ojcu Tomaszu Rostworowskim SJ (1904–1974)

---

Łódzkie Studia Teologiczne 4, 71-82

---

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

EWA BEKIER

## NIEZAPOMNIANY DUSZPASTERZ

WSPOMNIENIE O OJCU TOMASZU ROSTWOROWSKIM SJ  
(1904–1974)

21 lat temu odszedł od nas ojciec Tomasz Rostworowski. Ci, którzy znali go blisko i pamiętają o nim, wiedzą, że nigdy właściwie nie odszedł na dobre. Jak można czytać z wielu wspomnień ludzi, którzy zetknęli się z nim w życiu – jego nauki oraz zasady i podstawy wiary, które im zaszczepił, przetrwały. Promieniają na otoczenie. Pomagają w podejmowaniu decyzji przy różnych wyborach w życiu.

Pamiętam Ojca Tomasza z kilku okresów jego życia. Poznałam go zaraz po wojnie – jako wspaniałego nauczyciela i wielkiego przyjaciela młodzieży – kiedy z zapałem i energią organizował pierwsze łódzkie duszpasterstwo akademickie. Potem przez jakiś czas widywałam go w Rzymie, kiedy pracował w polskiej sekcji Radia Watykańskiego. I wreszcie ostatnie spotkanie w Łodzi, gdy przyjechał na swój jubileusz zakonny, zboleły i chory, i nie mógł już powrócić na dalszą służbę do Rzymu.

Chciałabym teraz przyjrzeć się kolejom jego życia.

Urodził się 9 listopada 1904 r. w Warszawie. Matka – Teresa z Fudakowskich, córka właścicieli dóbr w Uhrze i Krasnobrodzie – była wychowanką klasztornej szkoły sióstr Sacré Coeur w Pradze czeskiej, osobą głęboko wierzącą, niezwykle szlachetną i delikatną. Będzie miała wielki wpływ na rozwój duchowy syna, ukształtowanie jego charakteru i poglądów opartych na niezachwianej ufności w Bogu. Ojciec, Karol Rostworowski – syn Romana i Marii Gloger ze Żmichowskich, osiadłych w majątku Kowalszczyzna na Podlasiu – był artystą muzykiem, kompozytorem pieśni i dwu oper – „artysta pełen wdzięku, poezji, romantyzmu [...] zafascynowany muzyką” – tak go scharakteryzuje później żona w swym pamiętniku. Zamiłowania i uzdolnienia muzyczne odziedziczy po nim najstarszy syn Tomasz.

Państwo Rostworowscy mieszkają najpierw w Warszawie, potem w Krakowie. W 1907 r. przychodzi na świat drugi syn Stefan, a w 1910 r. trzeci – Jerzy. Pierworodny Tomasz – jak pisze jego matka – był „dzieckiem cichym, wątłym, chorowitym, łatwym w wychowaniu i potulnym”. Przechodzi wszystkie choroby wieku dziecięcego. Idąc więc za sugestią lekarzy, matka wyjeżdża z synami do Szwajcarii. Po krótkim pobycie zdrowotnym nad Jeziorem Lemańskim, zatrzymu-

ją się we Fryburgu. Poznają tam ks. Władysława Kornilowicza – wówczas studenta teologii – który na prośbę pani Teresy Rostworowskiej zgadza się przygotować jej syna do komunii. Był to kapłan wybitny, człowiek wielkiego ducha i głębokiej wiary. Wiele lat później Ojciec Tomasz wyzna, że ksiądz Kornilowicz zdecydowanie zaważył na całym jego życiu. W kwietniu 1913 r. w małej kapliczce szkolnej ks. Kornilowicz udziela Tomaszowi I komunii świętej.

Po wybuchu wojny w 1914 r. pani Teresa Rostworowska wraca z synami do Kraju. Krótka radość ze spotkania synów z ojcem – Karolem Rostworowskim. Zaraz na początku wojny zostaje on zmobilizowany do armii rosyjskiej i wysłany na front na Kaukaz. Przez wiele lat nie będzie o nim żadnych wieści.

Wobec braku środków do życia Teresa Rostworowska wraz z synami wyjeżdża do krewnych, do Kijowa. Tomasz uczęszcza do kijowskiego gimnazjum. Włącza się też do powstających tam tajnych grup harcerskich i pomaga matce, która ma niełatwe życie. „Tomek dorastał, stawał się moim towarzyszem, podporą i pomocą przy wychowywaniu młodszych chłopców. To wesołe, pogodne, jasne usposobienie jego było całą radością mego życia”, napisze wiele lat później.

Wiosną 1918 r. wraca z Syberii do Kijowa stryj Tomasza – jezuita ojciec Jan Rostworowski. Tomasz codziennie służy mu do mszy świętej – jest pełen podziwu i uznania dla tego wybitnego teologa, kapłana i pisarza, człowieka wielkiego formatu, który odtąd stanie się jego duchowym przewodnikiem.

Po wkroczeniu Niemców do Kijowa wracają wszyscy do kraju. Pani Rostworowska z synami zatrzymuje się w Lublinie. Czternastoletni Tomasz rozpoczyna naukę w Szkole Lubelskiej. Wiele czasu poświęca na pracę w harcerstwie. Po dwu latach zostanie mianowany komendantem II Lubelskiej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego.

Drugą jego pasją jest muzyka. Matka już wcześniej prowadziła z nim lekcje gry na pianinie. Teraz zdaje egzamin do Lubelskiej Szkoły Muzycznej do klasy fortepianu. Szkołę tę ukończy po trzech latach.

W czerwcu 1922 r. zdaje maturę i zostaje przyjęty na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Lubelskiego. Bierze czynny udział w studenckim życiu towarzyskim. Jak pisze matka – „pełno koło niego wesołej, rozbawionej młodzieży”. Zostaje wybrany na wodzireja wszystkich studenckich balów. Wesoły kompan, zawołany tancerz, świetny organizator studenckich zabaw. Prowadzi też nadal drużyny harcerskie – jest jednym z komendantów Chorągwi Lubelskiej.

Ale głos Boga odzywa się w nim coraz mocniej. Przy końcu roku akademickiego podejmuje decyzję poświęcenia się służbie Bożej jako ksiądz. O postanowieniu pierwsza od niego samego dowie się matka, która zawsze tak dobrze go rozumie. „Moja ofiara najdroższego dziecka Panu Bogu dawno zrobiona”, zapisze w swym dzienniczku.

W czasie wakacji odprawia rekolekcje zamknięte. Waha się w wyborze szczegółowej drogi kapłaństwa – może zostać kapłanem diecezjalnym? Po namyśle dochodzi do wniosku, że potrzebuje ściślejszej reguły zakonnej. Bierze pod

uwagę zakon dominikanów i jezuitów, wkrótce wyjeżdża do Francji i Belgii i tam przebywa przez pewien czas, najpierw w nowicjacie dominikańskim, a następnie jezuickim. Może już teraz podjąć świadomą decyzję – nie długie godziny kontemplacji dominujące w regule dominikańskiej, lecz apostołska misja prężnego zakonu jezuitów odpowiada mu najbardziej. Po powrocie zgłasza się do superiora lubelskiego nowicjatu jezuitów. Wkrótce otrzymuje wiadomość, że ma się udać do Starej Wsi koło Brzozowa.

7 listopada 1923 r. dziewiętnastoletni Tomasz przyjeżdża do kolegium jezuitów w Starej Wsi. Nazajutrz zostaje przyjęty do Towarzystwa Jezusowego i rozpoczyna swój nowicjat. Szybko przystosowuje się do życia we wspólności. Przyzwyczajony do dyscypliny w organizacjach harcerskich, bez trudu podporządkowuje się wymaganiom obowiązującym w zakonie. Wkrótce zostaje mianowany bibliotekarzem nowicjackiej biblioteki, a następnie dyrygentem chóru nowicjuszy. W wolnych chwilach opowiada klerykom wesołe anegdoty, śpiewa piosenki, akompaniując sobie na fisharmonii.

Po dwu latach nowicjatu zostaje skierowany na trzyletnie studia filozoficzne do Nowego Sącza. Tam w listopadzie 1925 r. składa swoje pierwsze śluby wieczyste.

W lutym 1927 r. nagle umiera ojciec.

Po ukończeniu studiów filozoficznych zdaje egzamin *ex universa* i zostaje skierowany do wileńskiego domu jezuitów. Pracuje tam jako nauczyciel śpiewu i historii w prowadzonym przez jezuitów Gimnazjum im. św. Kazimierza. Musi więc na pewien czas przerwać studia zakonne i poświęcić się pracy pedagogicznej z uczniami. Jednocześnie kontynuuje studia w wileńskiej Wyższej Szkole Muzycznej. Po czterech latach zdaje jako ekstern egzamin dyplomowy w Warszawskim Konserwatorium, co uprawnia go do nauczania muzyki i śpiewu w szkołach średnich. Teraz już może powrócić do przerwanych studiów zakonnych.

Drugi etap jezuickiej formacji rozpoczyna we wrześniu 1932 r. na fakultecie teologicznym w lubelskim Bobolanum. Mimo wielkich wymagań stawianych studentom teologii, znajduje czas na dodatkowe zajęcia. Uczy śpiewów gregoriańskich, kieruje chórem i orkiestrą smyczkową, tworzy pierwsze drużyny harcerskie złożone z kleryków.

W czerwcu 1935 r. otrzymuje święcenia kapłańskie. Prymicyjne msze święte odprawia w kościele Jezuitów w Lublinie, a następnie w Warszawie w kościele NMP Łaskawej – tu asystuje mu do mszy ksiądz Władysław Kornilowicz, a kazania wygłasza jego stryj – ojciec Jan Rostworowski.

Po ukończeniu w Lublinie IV roku teologii w czerwcu 1936 r. Ojciec Tomasz zdaje pomyślnie egzamin *ad gradum* z całości zagadnień filozoficznych i teologicznych. Będzie więc mógł ubiegać się o dopuszczenie do uroczystej profesji – najwyższego stopnia godności kapłańskiej w Towarzystwie Jezusowym.

Na trzyletnią praktykę udaje się ponownie do kolegium w Wilnie. Pracuje jako prefekt Małego Seminarium oraz nauczyciel śpiewu w Gimnazjum św. Kazimierza. Jest cenionym bardzo wychowawcą młodzieży i wspianiałym kaznodzie-

ją. Obejmuje oczywiście dyrygenturę chóru i orkiestry szkolnej, zostaje opiekunem Koła Dramatycznego i konsultorem Domu Zakonnego. Działa również w harcerstwie. W Warszawie zdaje właśnie egzamin na harcmistrza. „Wiwat pierwszy w Polsce harcmistrz-jezuita”, napisze kronikarz miejscowego tygodnika.

W sierpniu 1939 r. przyjeżdża do Lwowa do jezuickiego Domu Rekolekcyjnego, gdzie ma rozpocząć swój kapłański nowicjat, czyli III probację. Zastaje tam atmosferę przygotowań wojennych. Ponieważ ukończył w Wilnie przeszkolenie obronne, zostaje teraz mianowany zastępcą komendanta obrony przeciwlotniczej. Wybuch wojny, naloty, bomby, zbliżająca się linia frontu – to wszystko nie sprzyja prowadzeniu nauk rekolekcyjnych. Ojciec Tomasz – wraz z innymi ochotnikami – włącza się w akcję obrony miasta. Pod nieustającym ostrzałem niesie Najświętszy Sakrament do rannych leżących na polu bitwy. Kilka razy cudem unika śmierci. „Widocznie Pan Bóg jakąś ważniejszą misję dla mnie przeznaczył, skoro nie pozwala mi teraz jeszcze zginąć”, oświadcza z humorem.

Po ogłoszeniu kapitulacji probacja we Lwowie zostaje przerwana. Ojciec Tomasz przedziera się do Lublina i zostaje oddelegowany do opieki nad kaplicą domową w majątku Osmolice, gdzie przebywa jego matka – uszczęśliwiona wita wracającego syna.

W styczniu 1940 r. wyjeżdża do Starej Wsi i będzie tam kontynuował przerwana we Lwowie trzecią probację. Rok później w kaplicy jezuitów na Rakowieckiej w Warszawie złoży na ręce ojca Jana Rostworowskiego cztery ostateczne śluby zakonne i otrzyma zaszczytną godność profesora.

Lata okupacji spędza w Warszawie w domach zakonnych na Mokotowie i na Starym Mieście. Ludność stolicy tłumnie zapełnia kościoły – szuka pociechy, rady, pomocy. Ojciec Tomasz głosi płomienne kazania, prowadzi rekolekcje. Bierze też udział w tajnym nauczaniu klas licealnych, wygłasza pogadanki z dziejów ojczystych, uczestniczy w konspiracyjnych zebraniach harcerskich oraz spotkaniach z młodymi pisarzami i twórcami. Zaraz też rozchodzi się szeroko wieść o artystyczno-towarzyskich talentach Ojca, o jego głębokim wpływie apostołskim na otoczenie. Coraz liczniej gromadzi się wokół niego warszawska młodzież. Organizuje więc Ojciec wieczory dyskusyjne, harcerskie gawędy, spotkania z piosenką okupacyjną. Deklamuje wówczas wiersze o tematyce głównie patriotycznej, raz na poważnie, raz na wesoło, zawsze ze swadą i talentem aktorskim, śpiewa z młodzieżą piosenki partyzanckie i dobiera do nich akompaniament na fortepianie. Gra utwory Chopina, głównie ulubionego *Poloneza A-dur* i *Etiudę rewolucyjną*. Roztacza opiekę duchową nad harcerzami z Szarych Szeregów i najmłodszymi Zawiszakami. Opiekuje się też gromadą rozhukanych gazeciarzy zwanych „Gigantami”, z którymi udaje mu się szybko nawiązać kontakt. Pomaga również rodzinom żydowskim w ukrywaniu się i zdobywaniu żywności oraz „lewych” papierów. W okresie przygotowań do Powstania coraz mocniej włącza się do działalności konspiracyjnej i harcerskiej.

Kiedy Powstanie staje się faktem, Ojciec Tomasz wraz z kilku innymi jezuitami zostają przydzieleni jako kapelani do obsługi punktów sanitarnych na Rynku Starego Miasta. Ojciec Tomasz ponadto obejmuje duchową opiekę nad II Kompanią Harcerską batalionu „Wigry” i pełni funkcję kapelana batalionu „Gustaw”. W drugim tygodniu walk przenosi się z Domu Zakonnego na ulicę Barokową, gdzie mieści się Kwatera Główna dowództwa Armii Krajowej. Na prośbę jej komendanta pułkownika Stanisława Klepacza, a za zgodą prowincjała jezuitów, będzie pełnił rolę kapelana Komendy Głównej AK i 1112 plutonu osłownego z pułku „Jeleń”. To bardzo zaszczytne wyróżnienie i dowód zaufania. Wybiera się więc Ojciec na zwiedzanie gmachu, gdzie będzie odtąd mieszkał, i w jednej z dużych sal, zastawionej jak inne łózkami, znajduje – pianino! Ogromnie się ucieszył. Postanawia urządzić koncert, na który zaprasza żołnierzy stacjonujących na Barokowej. Wieczorem szybko zapełnia się sala i Ojciec Tomasz zasiada do pianina. Mocnym akordem zaczyna melodię *Hymnu Polski Podziemnej*. Poruszenie wśród zebranych – podchodzą do pianina, uczą się słów, melodii, śpiewają wkrótce razem:

Godzina pomsty wybija  
Za zbrodnie, mękę i krew.  
Do broni! Jezus Maryja!  
Żołnierski woła nas zew.

Jeden z żołnierzy plutonu stacjonującego na I piętrze tak opisze swoje wrażenia: „Położyłem się na łóżku, zmęczony całodzienną pracą, jak większość żołnierzy. Ale gdy posłyszałem pierwszą zwrotkę śpiewaną przez księdza kapelana, coś dziwnego stało się ze mną. Czuję, że włosy jeżą mi się na głowie. Patrzę na kolegów, oni na mnie. Przy drugiej zwrotce jesteście wszyscy na nogach, przy trzeciej – wszyscy na dole przy pianinie. Walimy brawo wołając: »jeszcze raz! jeszcze raz!« Takiej muzyki jeszcześmy w życiu nie słyszeli!”

Tym koncertem zdobywa sobie Ojciec serca wszystkich żołnierzy kwaterujących na Barokowej. Chce ich natchnąć optymizmem, wlać tym chłopcom z pierwszej linii frontu trochę otuchy i wiary w siebie.

W trzecim tygodniu walk, wobec nasilających się szturmów i nalotów, Kwatera Główna AK przenosi się na ulicę Długą 7. Ojciec Tomasz co dzień o świcie wymyka się na miasto. Odwiedza posterunki obronne powstańców, schrony, piwnice, szpitale polowe. Przynosi świeże wiadomości z pola walki, odprawia nabożeństwa przy ołtarzach polowych, spowiada. Pociesza, rozwesela, radzi. Odwiedza powstańców w ich kwaterach, a kiedy uda się znaleźć jakiś fortepian czy pianino, improwizuje krótkie spotkania przy muzyce. Gra jak zawsze utwory Chopina, opowiada zabawne dykteryjki i intonuje żołnierskie piosenki, które wszyscy z nim razem śpiewają. Bierze udział w akcjach gaszenia pożarów i w ratowaniu zasypanych. Idzie do zatłoczonych schronów i piwnic, gdzie ludzie głodują, błagają o wodę. Przynosi im nie tylko pociechę duchową, ale czasem udaje mu się przekraść między ruinami domów i zdobyć trochę żywności i wody. Odwiedza co

dzień szpitale polowe, gdzie wciąż przybywa rannych. Na jego widok rozjaśniają się twarze chłopców, którzy wyciągają do niego ręce, uszczęśliwieni, zapominają o cierpieniach.

Za udział w Powstaniu zostanie odznaczony Krzyżem Walecznych, a następnie Srebrnym Krzyżem *Virtuti Militari*.

W końcu sierpnia bierze udział w wypadach oddziałów szturmowych „Radosław” i „Wigry”, które próbują umożliwić wyjście powstańców ze Starówki. Natarcie załamuje się.

1 września zaczyna się ewakuacja powstańców kanałami do Śródmieścia. Ciężko ranni mają zostać w szpitalach polowych. Ojciec Tomasz idzie do tych rannych żołnierzy, którzy bezbrinnie muszą czekać na wtargnięcie Niemców. Usiłuje ich uspokoić, pocieszyć, intonuje modlitwę *Pod Twoją obronę uciekamy się...* I chyba wtedy podjął decyzję, którą uzasadni później krótko, po żołniersku: „Gdy wróciłem nad ranem do szpitala i zobaczyłem setki rannych niepokojących się moją nieobecnością, postanowiłem na przyszłość od nich się nie odłączać i dzielić ich los. Tak też się stało”.

Przez całą noc oddziały powstańców schodzą do kanałów. Ojciec Tomasz odprowadza do wjazdu żołnierzy z batalionu „Gustaw” – to jego dzieci, którym kapelanował i towarzyszył w walkach. Błagają go: „Ojciec Tomasz, niech Ojciec idzie z nami, tu nikt się nie uratuje...” Uśmiecha się z rezygnacją, żegna ich i błogosławi. Ostatni powstańcy zeszli do kanałów. Ojciec Tomasz zostaje sam na pustych ulicach. Tylko w szpitalach Starówki kilkuset ciężko rannych czeka w rozpacz na swój los. Do nich idzie teraz, z nimi zostaje do końca, poświęcając życie, jeśli tego zażąda Bóg. Nad ranem słychać strzały, Niemcy zbliżają się ostrożnie zza barykad. „Już czas”, pomyślał wtedy. Wpada do zakrytej kościoła św. Ducha. Kładzie czerwony ornat, z tabernakulum wyjmując puszkę z komunikantami i wybiega na ulicę. Za chwilę jest w największym powstańczym szpitalu w gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości. Odprawia krótką mszę, udziela ogólnego rozgrzeszenia i idzie z Najświętszym Sakramentem do chorych, stłoczonych w ciemnych korytarzach i piwnicach. Pochyla się po kolei nad każdym, próbuje dodać męstwa, pociesza, rozdaje komunię świętą. Usiłują podźwignąć się z posłania, patrzą na niego z wdzięcznością, podziwem, miłością... Słychać krzyki. Wpadają esesmani, strzelają do leżących. Z wielu stron naraz okrzyki przerażenia, płacz, jęki. Kto może, zwleka się z posłania, czołga do drzwi, pada. Ojciec Tomasz próbuje ich ratować, ciągnie za sobą dwóch obandażowanych chłopców, wywleka poza szpital, wraca, tłumaczy po niemiecku, chwytając następnych, próbuje ich zabrać z tego piekła, gdzie za chwilę wszystkich pochłonie płomień. Żołnierze odrzucają go brutalnie poza salę, która zaczyna się już palić. Dobijają rannych, podpalają pod nimi sienniki. Lżej ranni wyczołgują się z piwnic, tworząc żalostny pochód. Niemcy pędzą wszystkich w stronę Placu Zamkowego. Tam odłączają dużą grupę, w której znajduje się również Ojciec, i pędzą w dół Mariensztatem. Na murku ustawiają się żoł-

nierze z rozpylaczami. „Niedobrze”, myśli Ojciec i próbuje ucieczki. Nie zauważony skręca w małą uliczkę. Ukrywa się w piwnicy spalonego domu niedaleko kościoła św. Anny. Znajduje tam wodę i trochę żywności. Przez cały wrzesień będzie żył w tej kryjówce samotnie, tuż za plecami posterunków niemieckich. Żeby nie tracić czasu, przez osiem dni odprawia ignacjańskie rekolekcje. Gospodarzy sobie przez miesiąc niczym Robinson. W końcu znajdują go Niemcy i od nich dowiaduje się, że zostało właśnie zawarte zawieszenie broni z powstańcami. Kiedy tamci odeszli, pada na kolana i dziękuje Bogu za ocalenie. Opuszcza kryjówkę i udaje się najpierw na Piwną do zburzonego kościoła św. Marcina – w podziemiach powstańcy ukryli puszkę z Najświętszym Sakramentem. Próbuje dokopać się do niej przez zwały gruzów. Oczywiście to niepodobieństwo, więc rezygnuje i rusza w stronę granic miasta. Wartownicy pozwalają mu przejść. Przebiega szybko kolejowy most i jest na wolności. Szosą dociera do Ursusa, gdzie na plebanii spotyka współbraci zakonnych. Witają go jako cudem ocalonego, bo różne już o nim krążyły wieści. Nazajutrz rano z wielkim wzruszeniem odprawia pierwszą po trzydziestu dniach mszę świętą.

Po zakończeniu wojny, w styczniu 1945 r. ma objąć zwierzchnictwo nad domem jezuitów w Łęczycy. Wyrusza tam pieszo, potem „łapie” jakiś towarowy pociąg i z braku miejsca jedzie na cysternie z benzyną koło zderzaków, uradowany, że ma piękne widoki naokoło. Zatrzymuje się w Łodzi i tu już zostanie. Ojciec Franciszek Przybylak przekonał prowincjała, że Łódź, w której po raz pierwszy ruszają wyższe uczelnie, bardziej niż Łęczycza potrzebuje energicznych, pełnych inicjatyw duszpastry – takich właśnie jak ojciec Rostworowski.

Dla Ojca Tomasza zaczyna się okres wyętej pracy. W trzech łódzkich gimnazjach będzie uczył religii – lekcje ma w kilkunastu klasach, więc – jak donosi w liście do Matki – „Apostolskim wpływem obejmuje 1200 uczniów”. Bierze udział w zebraniach koła prefektów łódzkich szkół średnich. Uczestniczy w zjazdach i konferencjach pisarzy katolickich. Chciałby roztoczyć opiekę duchową nad młodzieżą, która właśnie rozpoczęła studia w łódzkich uczelniach. Ale jak do niej trafić?

Na początku Wielkiego Postu w kościele Jezuitów mają być wygłoszone serie rekolekcji dla młodzieży. Ojciec Tomasz przykleja więc napisane przez siebie zawiadomienia w szkołach i na uczelniach. To właśnie taka odręcznie napisana kartka, przyklejona na drzwiach Uniwersytetu, zwróciła i moją uwagę, i tak trafiłam na rekolekcje do kościoła przy ul. Sienkiewicza 60. Zastaję tam tłumy młodych ludzi, a każdego następnego dnia przybywa ich coraz więcej. Robi się tak ciasno, że nie można się poruszyć. Na wiszącej nad głowami ambonę po krętych schodkach wbiega Ojciec Tomasz i zaraz zaczyna przemawiać. Dźwięcznym, melodyjnym głosem rozpoczyna swój niecodzienny wykład – analizę – czy może raczej rozmowę z nami. Porusza sprawy bardzo aktualne, niezwykle ważne wówczas dla nas – młodych ludzi, którzy próbują się jakoś odnaleźć w powojennej rzeczywistości. Mówi bardzo sugestywnie, dobitnie akcentuje słowa, z wielką ekspresją i dynamizmem, jakby chciał nas obudzić z marazmu, natchnąć wiarą w skuteczność walki o lepszy,



doskonalszy świat. Słuchamy zafascynowani. Wydaje się, że przemawia nie ksiądz-nauczyciel, ale ktoś spośród nas, bliski nam i drogi, brat-rówieśnik, przeżywający razem z nami nasze problemy, które dopiero teraz dzięki niemu można wyjaśnić i lepiej zrozumieć. Jego nauki są pełnie ciekawych myśli, oparte na głębokich podstawach wiary. Przedstawia je w sposób bardzo jasny i bezpośredni i opromienia wielką miłością do słuchaczy. Dlatego tak nam trafiają do serca.

Wkrótce prowincjał jezuitów mianuje Ojca Tomasza pierwszym duszpasterzem akademickim w Łodzi. Z zapałem i energią zabiera się więc do działania. Do kościoła akademickiego i zakrystii zbiegają się studenci ze wszystkich łódzkich uczelni, oczarowani pięknymi kazaniami, jakie Ojciec Tomasz wygłasza podczas akademickich mszy. Pragną porozmawiać, proszą o radę, pomoc, chcą włączyć się do wspólnej pracy. Dla każdego znajduje czas, angażuje się w każdą cudzą sprawę, nikomu nie odmawia pomocy, choć coraz większe rzesze młodzieży gromadzą się wokół niego. Sprawuje opiekę nad powstającymi właśnie zespołami akademickich Sodalicji Mariańskich. Spośród uczniów i studentów tworzy grupy *Juventus Christiana*. Powołuje międzyuczelnianą instytucję *Caritas Academica*, która stanie się masowym ruchem wzajemnej pomocy studentów. Do pracy w Caritas zgłasza się mnóstwo chętnych, powstaje wiele sekcji (stypendialna, stołówkowa, pomocy niewidomym, sportowa) – jest ich aż 14! Zawsze uśmiechnięty i radosny, pełen niezwykłych pomysłów oraz inicjatywy, czuwa Ojciec nad całością prac, pilnuje, żeby wszystko sprężyście funkcjonowało. W sali Duszpasterstwa Akademickiego organizuje co tydzień spotkania dyskusyjne studentów – omawia z nimi ważne sprawy dotyczące akademickiego ośrodka, a potem z promiennym uśmiechem zasiada do fortepianu i wyczarowuje różne melodie piosenek, patriotycznych albo wesołych czy humorystycznych, które śpiewa z młodzieżą do późnego wieczora.

Latem i zimą prowadzi studenckie obozy. Jako harcistrz przebywa na obozach szkolnych drużyn harcerskich. Uczestniczy w zjazdach pisarzy katolickich, konferencjach caritasowych, spotkaniach sodalicyjnych i kursach instruktorskich. Zostaje mu powierzona funkcja opiekuna wszystkich akademickich sodalicji w Polsce. Bierze udział w organizowaniu Studium Wyższej Wiedzy Religijnej przy kościele akademickim i prowadzi tam wykłady z liturgiki. Chce zbudować w Łodzi – jak mówi – „bastion świadomego katolicyzmu”.

Przy łódzkim duszpasterstwie istnieje aż 20 różnych stowarzyszeń i organizacji katolickich, którymi się opiekuje.

Wszędzie tyle pracy, tyle różnych ludzkich spraw. Ściągają do niego młodzi i starsi, na dziedzińcu kościelnym wciąż pełno ludzi, przed rozmównicą nieustannie wyczekują petenci, do jego konfesjonału ustawiają się tasiemcowe kolejki. Stara się wszystkiemu podolać, zając się jednocześnie wszystkimi i każdym z osobna. Z niesłychaną serdecznością spieszy na spotkanie tego, kto zwraca się do niego o pomoc. Nikomu nie okazuje zniechęcenia, znużenia czy braku zainteresowania. Przejęty kłopotami swego rozmówcy, zapomina o bożym świecie, także

o umówionych spotkaniach z innymi, którzy czekają, często wiele godzin, niecierpliwą się, szukają go wszędzie. Spieszy się nieustannie, biega zaaferowany od jednej sprawy do następnej, trochę roztargniony, nie liczący się z czasem – spóźnia się, przeprasza – zmartwiony że doba ma tylko 24 godziny!

Tymczasem stosunki między państwem a Kościołem zaczynają się pogarszać. Prężnie, z takim rozmachem rozwijający się ośrodek duszpasterski wywołuje zaniepokojenie organów bezpieczeństwa. Ojciec Tomasz widzi nadciągające chmury, ale nie opuszcza go pogoda ducha i pełna optymizmu wiara, że zły los da się zawsze przewyciężyć, jeśli się zaufa Chrystusowi. Lata wyteżonej pracy w Łodzi tak podsumowuje w swym pamiętniku: „Przez pięć lat walczyłem ku czci Maryi i jej Syna, zgodnie ze słowami hymnu sodalicyjnego: »Siać miłość będziemy wśród burzy i słońca«”.

W styczniu 1950 r. Ojciec Tomasz zostaje aresztowany, następnie oskarżony o działalność antypaństwową i skazany na dwanaście lat więzienia. Wyrok przyjmuje spokojnie – z powagą i godnością. „Jeśli Bóg zsyła krzyż, trzeba go przyjąć na klęczkach”, napisze później w jednym z listów do przyjaciół. Przebywa kolejno w więzieniach w Łodzi, w Warszawie, we Wronkach i znowu w Warszawie. Swój pobyt w więzieniu traktuje jako wypełnienie woli Bożej i służbę dla wiernych. Gdzie może, prowadzi rekolekcje dla współwięźniów, spowiada, rozdaje komunię świętą z komunikantów zrobionych z przemycanego praśnego chleba. Któregoś dnia w czasie przymusowego spaceru po dziedzińcu udziela rozgrzeszenia mijającemu go więźniowi. Zostaje za to skazany na trzy dni „karca”, bo uprawia ponoć „propagandę religijną”. Do karceru wędruje zresztą często: za wypowiedanie w celi chłopca, który chciał popełnić samobójstwo, za odmowę podpisania jakiegoś dokumentu, za to że staje w obronie i udowadnia niewinność więźnia, któremu podrzucono zakazany przedmiot. A już najbardziej zdenerwował władze więzienne, kiedy na rannym apelu zgłasza się do raportu i wyraża życzenie, żeby otwarto nieczynną od wojny kaplicę więzienną, w której choć raz w tygodniu powinien się znajdować kapelan. Za taki tupet dostaje sześć tygodni „jedyńki” z zaostrozonym rygorem. Przebywając w izolatce, odprawia swoje rekolekcje ignacjańskie i obmyśla układ książki apologetycznej o podstawach wiary. Przez szparę w murze obserwuje, jak lód topnieje nad brzegiem rzeki, jak zlatują się ptaki wodne, rybitwy. Kiedyś słyszy nawet śpiew słowika i zanotuje później: „To prawdziwe przeżycie estetyczne. Pomyślałem z żalem o muzyce instrumentalnej, której wielki brak odczuwałem – fortepian, orkiestra symfoniczna, skrzypce, ładnie brzmiący chór...” W jednej z cel, do której trafia po powrocie z kolejnego karceru, spotyka wielu młodych znajomych – organizuje dla nich wykłady z teorii harmonii i zasad słuchania muzyki – akordy i nuty zapisują mydłem na drzwiach. Często jest przenoszony z jednej celi do drugiej. W dwuosobowej celi, w której upchano 60 osób, odbywa kwarantannę na tzw. „dołku”, organizuje tam „żywy różaniec”, odprawia mszę i głosi kazanie, opowiada też aneg-

doty i śpiewa piosenki. Jeden ze współtowarzyszy tak o nim później napisze: „Do szarzyzny celi wprowadzał trochę słońca i radości. Szukał okazji, by służyć współwięźniom pomocą duchową”.

20 września 1956 r. Ojciec Tomasz wychodzi na wolność – po sześciu latach i ośmiu miesiącach pobytu w więzieniu. „Miłującym Boga wszystko obraca się na dobro” – tymi słowami św. Pawła wita przyjaciół czekających na niego za więzienną bramą.

Przyjeżdża na krótko do Łodzi, gdzie witany jest owacyjnie. Odprawia mszę świętą i wygłasza powitalne kazanie. Potem kilka spotkań w duszpasterstwie z dawnymi studentami, i dawne piosenki śpiewane razem z nim przy akompaniamencie tego samego co ongiś fortepianu.

We wrześniu wyjeżdża do Kalisza i przez rok pełni funkcję socjusza – opiekuna młodzieży zakonnej w jezuickim nowicjacie. Następnie przez cztery lata będzie pracował w Lublinie jako akademicki duszpasterz przy KUL-u. Potem wraca do Łodzi i zostaje opiekunem duchowym łódzkiej inteligencji katolickiej.

Wiosną 1963 r. od swego brata Jerzego z Sao Paulo otrzymuje wiadomość o ciężkiej chorobie ich matki, która pragnie uściskać przed śmiercią ukochanego syna Tomasza. Po wielu staraniach udaje się uzyskać paszport i w sierpniu Ojciec Tomasz odlatuje do Brazylii. Dwa miesiące spędza przy chorej matce, która – uszczęśliwiona że ma go przy sobie – zaczyna niespodziewanie wracać do zdrowia. Odejdzie ze świata pół roku później. Wkrótce nadchodzi od prowincjała list informujący, że Ojciec Tomasz Rostworowski ma się stawić w Rzymie i rozpocząć pracę w polskiej sekcji Radia Watykańskiego.

Zaczyna się nowy etap jego życia. Szczęśliwy, że może odtąd mieszkać w sercu chrześcijańskiego świata i głosić na falach radiowych chwałę Boga, z zapałem zabiera się do działania. Zbiera materiały do pogadanek radiowych. Wygłasza przez radio sprawozdania z odbywających się właśnie obrad Soboru Watykańskiego II, a także zamieszcza relacje z podróży Pawła VI do Ziemi Świętej, do Genewy i Fatimy. Bierze czynny udział w rzymskich przygotowaniach do obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski. Uczy się włoskiego i wkrótce będzie głosił kazania i rekolekcje w tym języku. Spowiada teraz w czterech językach (francuskim, niemieckim, włoskim i polskim). Rozwija ożywioną działalność duszpasterską wśród polonii rzymskiej. Ściągają Polacy z różnych stron Rzymu, by szukać rady, pociechy, prosić o pomoc duchową czy materialną, a on nie potrafi nikomu odmówić – więc pożyczka od jednych i rozdaje innym, stąd wiele kłopotów, bo z czego potem oddać? Sam nic nie posiada, tylko życzliwe serce i dobre chęci przyjscia z pomocą. Załatwia tysiące spraw, którymi ludzie – jak niegdyś łódzcy studenci – beztrudno go obarczają.

W 1967 r. zostaje mianowany kierownikiem polskiej sekcji Radia Watykańskiego. Ponieważ brakuje współpracowników, więc pełni równocześnie funkcję redaktora, spikera i kierownika w jednej osobie.

Jednak najwięcej energii włoży w przygotowywanie wystawy pamiątek kopernikowskich, a następnie w prace związane z otwarciem nieczynnego od lat Muzeum Kopernikańskiego na Monte Mario. Zapalił się do idei ukazania światu na nowo – w związku z obchodami milenijnymi – naszego wielkiego astronoma. Poświęca więc mnóstwo czasu i sił na skatalogowanie starej biblioteki muzeum i pomoc w uporządkowaniu eksponatów. Wygłasza też liczne odczyty o Koperniku, prowadzi konferencje. Uczestniczy w Zjeździe Kartografów i Przyjaciół Globusów w Brukseli, bierze udział w obradach Kongresu Astronomicznego w Brighton, a później w londyńskim Zjeździe Kultury i Nauki Polskiej na emigracji. Zamieszcza artykuły o Koperniku w „Osservatore Romano”, w „Tygodniku Powszechnym” i londyńskim „Przeglądzie Powszechnym”.

Na brak obowiązków i pracy nie może narzekać. Czas ma podzielony między działania duszpasterskie, obowiązki w rozgłośni radiowej i realizacji wielkiej pasji życiowej, jaką jest wskrzeszenie muzeum Mikołaja Kopernika. Nie rezygnuje też z uczestniczenia w obozach harcerskich. Na zlocie harcerstwa emigracyjnego na Monte Cassino w 25-lecie bitwy pełni funkcję kapelana wszystkich obozów harcerskich. Swej działalności duszpasterskiej nie zamyka w granicach samych Włoch. Prowadzi serie rekolekcji we Francji, a następnie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

W maju 1973 r. – w 500. rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika – następuje wreszcie uroczyste otwarcie Muzeum Kopernikańskiego na Monte Mario. Ojciec Tomasz jest u szczytu realizacji swoich marzeń. Najbardziej cieszy go fakt, że Muzeum będzie odąd trwałym pomnikiem zarówno naszego genialnego ziomka, jak i kultury polskiej w Wiecznym Mieście i jej wkładu do kultury ogólnoswiatowej.

Upłynęło już dziesięć lat od chwili rozpoczęcia przez Ojca działalności w Rzymie. Choć dobiega siedemdziesiątki, jest wciąż młodzieńczo czynny, pełen twórczej inicjatywy, uśmiechnięty, radosny, dla każdego życzliwy. Pędzi po ulicach Rzymu rozklekotaną, darowaną skodą i usiłuje załatwiać tysiące spraw. Kiedyś wyrzuciło go na zakręcie i przeokoziółkował parę razy – od tamtej chwili powtarzają się bóle kręgosłupa.

W sierpniu 1973 r. przyjeżdża do Warszawy, a następnie przybywa do Łodzi, gdzie odbędzie się jego podwójny jubileusz: 50-lecie życia zakonnego i 30-lecie służby kapłańskiej. Przyjechał z Rzymu osobowym pociągiem, kilkanaście godzin na siedząco – bóle krzyża nasiliły się gwałtownie. Ma wykupiony powrotny bilet do Rzymu.

9 września, po uroczystej jubileuszowej mszy w kościele Jezuitów, odbywa się spotkanie Ojca z wiernymi – tłumy ludzi z bukietami kwiatów witają go po dziesięciu latach nieobecności. Przesuwają się wiele godzin nie kończącym się korowodem przez salę akademickiego duszpasterstwa – tę samą, w której on organizował niegdyś spotkania, koncerty, gdzie uczył, jak kochać świat i ludzi, jak zachować radość i pogodę ducha, choć wiatr w oczy dmie. Obsypany kolorowymi kwiatami, cierpiący i chory, pragnie za wszelką cenę

zachować pogodny uśmiech, pokazać radość i wdzięczność witającym go entuzjastycznie ludziom.

Stan jego zdrowia pogarsza się. Przez trzy miesiące przebywa w Szpitalu Świętej Rodziny, następnie w grudniu wyjeżdża na rekonwalescencję do Domu Zakonnego w Zakopanem. Po dwu miesiącach zostaje stamtąd przywieziony do Łodzi w stanie bardzo ciężkim. Umiera 9 marca 1974 r. Zostaje pochowany na cmentarzu na Dołach. Nieprzebrane tłumy towarzyszą mu w ostatniej ziemskiej wędrówce.

Chciałabym jeszcze na zakończenie przytoczyć słowa, jakie w liście do mnie napisał po jego śmierci pewien wybitny duchowny, zakonnik, daleki krewny Ojca Tomasza.

„Zawsze podziwiałem u niego ten geniusz miłości i radości i tę upartą wolę służenia wszystkim. Tomasz był w różnych sytuacjach życiowych bardzo trudnych, ale zawsze umiał w bardzo prosty sposób stanąć na poziomie tych sytuacji, jak człowiek, który ma korzenie gdzieś o wiele głębiej. Heroizm jego był autentyczny. Nie było w nim patosu. Był to heroizm pełen prostoty i uśmiechu”.